Rozmaitości

Dnia 2. Października Nr. 40. Roku 1841.

MYŚL

PRZY ZAPROWADZENIU
DO NOWO-WYSTAWIONEGO BUDYNKU
SZKOŁY GŁUCHO-NIEMYCH,
DATKIEM I WYSOKĄ OPIEKĄ
NAJDOSTOJNIEJSZEGO ARCYKSIĘCIA
FERDYNANDA D'ESTE,
JENERALNEGO GUBERNATORA GALICYI,
JAK I DOBROCZYNNÉM WIELU INNYCH WSPARCIEM,
UPOSAŻONÉJ.

DNIA 26. WRZEŚNIA 1841 ROKU.

Widzimy pięknie ukończone dzieło,
Widzimy rozmiar, kształt gładki budynku;
Małoż nam chodzi, w jaki cel się wszczęło,
Z jakiego źródła ten pojaw uczynku?
Wzór oko pieści, dziwi stwór roboty —
Ten ustrój ładu chwałą budownika;
Precz z wiérzchnią szatą, nam trzeba istoty,
Niech ducha wzniesie i umysł przenika!

»O jakże piękna ta wszechność natury!«
Ktoż z nas w dniu pięknym z czuciem nie wy-
rzeka?
Ten obraz jasny nie przejdzież w ponury
Gdy z tła wszechności usuniem' człowieka?....

Zostanie księga ściśło zapisana,
Zostanie kościół, w nim prawda wyryta,
Lecz ktoż ją w słowo zwiąże bez kapłana,
Kto Mir podziwi, w księdze sens przeczyta?

Usuńmy centrum, jakiż promień w kole,
A bez promienia będzież koło w ruchu?...
To centrum boskie tkwi w człowieczém czole;
Wszystko choć z ducha, nić ma słowa w duchu.

Gdy Bóg te wielkie pozawieszał globy,
Dał słowu ciało, w siebie się oddalił,
Ktoż z myślą stanął przed témi ozdoby?...
Sam tylko człowiek, że piękne, pochwalił.

Spojrzyjmy w przestwór, w te światy bez końca,
Pójdźmy najgłębiéj rozumu źrenicą,
Dadząż odpowiedź te świécące słońca:
Kto je w strzeń utkwił, komu one świécą?....

Okropnie nieme zero pełne treści,
Okropnie milczy w ruch odwieczny pchnięte,
Sam tylko człowiek w swéj piersi boleści
Odmyślił symbol i słowo zaklęte!

Tém słowem stwórcę, siebie i stworzenie
Zapytał śmiało i niém odpowiedział,
Tém słowem w sobie robiąc myśli przedział,
Poszedł aż w nieba i wyniósł zbawienie!

Niém nieśmiertelny, niém umny i wolny,
Niém skruszył więzy, nad strzeń i czas buja;
Tę iskrę boską w piersi skrzesać zdolny,
Cześć dał Jehowie, nią wszczął Aleluja!....

Niechże ta iskra w twéj piersi nie spłonie,
Niech się myśl z czuciem w słowo nie ubierze,
Niech się bez spoju tuła w twojém łonie —
Skroń straci łunę, twoje znamię: źwiérzę!

Już się pierś twoja błogo nie rozgrzéwa,
Już przestrzeń wiedzy stoi z punktem ciasno,
Już w łańcuch pojęć nie wpleciesz ogniwa,
Wyzioniesz płomień, lecz promienie zgasną!

Już stracisz niebo, stracisz raj na ziemi,
Stracisz świat wszelki, który w słowie mieszka,
Już ty nic z ludźmi, chociéś między niémi,
Już twa samotna przez tę puszczę ścieżka!

Niech żona, dziécię albo przyjaźń tkliwa
Wyleje serce najczulszym językiem,
Choć się istoto wzruszysz nieszczęśliwa,
Czémże odpowiész?... miasto słowa, rykiem!....

O jakże smutną bierzem' w pogląd stronę,
Już na sam pomysł trwoga wstrząsa duszę,
Mogąż pod słońcem sroższe być katusze
Kiedy myśl wolna, słowo uwięzione!....

O ileż w większéj tych niedoli wiemy,
Których podwójnie los pokrzywdził srogi:
O jakżeś biédny i głuchy i niemy,
Tyś w państwo ducha utracił dwie drogi!

Twe czucie zewnątrz nié ma głosem wieści,
Tobie natura tylko licem gada,
Czém z serca idzie, czém wzrusza i pieści,
Z tego się czuciu twemu nie spowiada!

Tobie ni smutku, tobie ni wesela
Twoje skamiałe nie odśpiéwa ucho,
Ciebie klin twardy od życia przedziela,
W twym świecie z świata jakby w grobie głucho!

Słodka pieśń matki, co błogim snem wieje,
Czémże twéj myśli, czém sercu twojemu?
Czém pieśń ojczysta, co wskróż serca grzeje?
Pieśnią mogile, pieśnią umarłemu!

Twéj duszy tęcza tych zdrojów nie pije,
Co z nieba idąc ziemię w niebo wiodą,
Na ton czarowny z jam wychodzą żmije,
Tyś zawsze w jamie, tyś w to zawsze kłodą!....

O zwiedźże w niebo szczeréj dzięki dłonie
I tą pociechą wléj balsam w twe rany:
Że słowo, czucie odbić w twojém łonie
Umiał wziąć w sposób jeniusz z-nad Sekwany.*)

On smysłu oknem, on przez twoje oko
Znakiem od znaku urobił ci słowo,
On wszedłszy w ponik twéj duszy głęboko,
Wrócił ci godność, uzacnił cię Mową!...

Z tych uwag naszych bierzmy sobie miarę:
Co ten budynek pięknym dla nas czyni?
Jestto ludzkości spaniała świątyni,
Miłość bliźniego pali w niéj ofiarę!

i-n-k.

ZIĘĆ.

(Dokończenie.)

9.

Zaraz po tym wypadku wrócił Valmy do swojéj wili, i pospieszył najprzód do małej sali, o któréj jużeśmy raz nadmienili. Zastał tam swego szwagra przy stoliku od gry, w biuro do pisania zamienionym; na tym leżało już kilka listów, które ten poczciwy starzec właśnie ukończył. Siostra jego siedziała oparta w krześle poręczowém smutno zadumana; lat dziesięć od dnia wczorajszego przesunęło się po jéj zasępionéj twarzy.

W milczeniu zbliżył się Valmy do stolika i położył na nim 10,000 banknotami.

Z radością spojrzał teść na zięcia, a potém wyciągając chciwie rękę po mamonę, pokonany zachwytu uczuciem zawołał: »Wpan wydobyłeś ze szponów Rochella swoje pieniądze! A on żadnych nie czynił trudności?«

»Cokolwiek«, odrzekł Valmy, »aleśmy się w końcu pogodzili. Oto wpan masz swoje 10,000 franków; jeżeli mi je w posag Adolfiny policzyć zechcesz, więc je zatrzymam, jeżeli zaś życzysz sobie cały dług naraz spłacić, zostawiam to do woli.«

»Już my się jakoś urządzimy«, rzekł pan Bailleul, który widząc ciągle jeszcze milczącą swoję siostrę, wyraźniéj oświadczyć się nie ważył. »Przedewszystkiém mój zacny panie Valmy, proszę cię stokroć o przebaczenie, żem na chwilę o tobie nienajlepiéj pomyślił. Uroiłem sobie w głowie, żeś był tak nierozsądnym dać się odurzyć temu fircykowi paryskiemu, a tyś go w tomiast z mańki zażyć umiał. Do stu katów, miałżebyś wpan z swoją niunkowatą miną być w saméj istocie na wszystkie cztéry kuty?«

Poczciwy staruszek, którego banknoty w najweselszy humor wprawiły, spostrzegł nagle, że wesołość jego niezupełnie jest uświęcona miną gospodyni domu. Ta myśl zamknęła mu usta, i z nieśmiałością spojrzał ku swojéj dręczycielce, jak gdyby o pozwolenie prosząc, aby się dziś trochę rozweselił. — Tém niemém błaganiem łaski, przebudziła się panna Bailleul z głębokiego zamyślenia, w którém na widok Valmiego była zatonęła.

»Skończyłeś wpan listy?« rzekła obojetnie.

»Jeszcze tylko napisy!« odrzekł pan Bailleul.

»Ja biorę to na siebie. Idź wpan tymczasem i oznajm Piotrowi, aby je natychmiast zawiózł do Paryża.«

»Jakiś okólnik?« rzekł Valmy poglądając na listy, które leżały porozrzucane na zielonym stoliku.

»Mieliśmy jutro dawać obiad w Paryżu, i zaprosiliśmy wiele osób, ale siostra moja jest ciérpiąca i dla tegośmy odmówili.«

*) Abbe de lEpee.

»Prosiłam wpana, abyś uwiadomił Piotra.«

»Idę już idę moja siostruniu«, odrzekł zgodliwy staruszek, odchodząc skwapliwie.

Skoro pan Bailleul się oddalił, usiadła panna Bailleul do stolika nie zwracając uwagi na zięcia. Ukończywszy adres kilku listów i poziérając z roztargnieniem, rzekła tonem, jak gdyby się o pogodę pytała:

»Więc wpan widziałeś się z Rochellem?«

»Właśnie wracam od niego«; odrzekł z równą obojętnością zapytany.

»Nie robiłże żadnych trudności, gdyś mu zaproponował tę wymianę.«

»I owszém, robił, ale załatwiłem je.«

»Jakimże sposobem, jeżeli zapytać wolno?«

»Mniejsza o sposób, kiedy zamiar jest osiągnięty.«

Panna Bailleul schyliła się do stolika i ukończyła znowu adres kilku listów.

»Czyście wpanowie o samych tylko akcyjach rozmawiali?« zapytała znowu nieco mocniejszym głosem.

»Mówiliśmy także i o innych rzeczach.«

»Ale zapewne o niczém, — coby ważném było?«

Tu przystąpił o krok bliżéj pan Valmy i patrzył ostro ciotce w twarz, na któréj się całe jéj wewnętrzne malowało uczucie; poczém uśmiéchnąwszy się z litością, wyjął zwolna z kieszeni listy i nie rzekłszy ani słowa, położył je na stoliku.

Panna Bailleul tém zdziwiona, podniosła paczkę, a że nie było na niéj napisu, spojrzała spiesznie na pieczęć i poznała herb Rochella. Z chciwością tygrysa, który zdobycz swą chwyta, zdarła kopertę, a 43 listów wyleciało na stolik. Na ten widok zbladła na chwilę, jednakże wraz się opamiętała, z radośném spojrzeniem przystąpiła ku Valmiemu, i ścisnąwszy go mocno za rękę, rzekła może po raz pierwszy w życiu swojém wzruszona: »Jesteś moim wybawcą, dziękuję wpanu za ocalenie mego honoru. Jesteś najlepszy, najszlachetniejszy człowiek, i nigdy sobie tego nie przebaczę, żem się z wpanem tak źle dzisiaj rano obeszła. Powątpiewałam o zacności wpana w téj chwili, w któréj mi największą wyświadczyłeś przysługę, za którą mu życiem mojém opłacić jestem gotowa.«

»Na cóż tak wielkiéj ofiary, kiedy pani nierównie łatwiéj to uskutecznić możesz.«

»Proszę powiedzieć«, rzekła z zapałem panna Bailleul, któréj zły, jadowity charakter, wdzięczność zupełnie zmieniła.

»Daj pani jutro ten obiad, któryś gościom odmówić zamyśliła.«

Na to słowo niedługo trwało, a rozleciały się na podłogę wszystkie w kawałki podarte listy.

»To fraszka«, rzekła po chwili, »żądaj wpan prawdziwéj przysługi, podaj mi sposobność, abym mu dowiodła, że nie jestem niewdzięczną.«

»Oto jest Piotr!« rzekł pan Bailleul wszedłszy spieszno do sali.

Biédny starzec ujrzawszy na podłodze listy, nad którémi się przez dwie godzin mozolił, stanął jak od pioruna rażony.

»Może były źle napisane?« rzekł pochlebnie z żałością; »przecież starałem się o styl i koncept...«

»Któż o tém mówi?« odrzekła pani domu, która naprzeciw swemu bratu znowu dawną przybrała minę; »odmieniłam mój zamysł i daję jutro obiad.«

»Ależ moje kochanie, przy słabém zdrowiu twojém byłobyto —«

»Czuję się być zdrowszą.«

»Tak ci się zdaje, ale —«

»Czuję się być zdrowszą, powiadam wpnu.«

»Byłbym bardzo rad temu, ale zdaje się mi niepodobieństwem —«

»Czyś wpan uwziął się na to, abym znowu zachorowała. Powtarzam wpanu, żem zupełnie zdrowa, i że jutro obiad dajemy. Bądźże teraz tak łaskaw i powiédz Piotrowi, aby kazał do powozu założyć; o godzinie siódméj jedziemy do Paryża.«

Dłuższy opór uznał pan Bailleul za niepożyteczny i pospieszył wydać rozkaz.

»Teraz, gdy jesteśmy sami«, rzekła pani domu; »powiédz mi wpan jaką sztuką pokonałeś ten nieugięty charakter?«

»Dajmy pokój tym szczegółom, któreby tylko przykre przypomnienia wywołać mogły; pani jesteś mojéj małżonki ciotką, któréj poważanie winien jestem; reszta mnie nie obchodzi.«

»Spodziéwam się, że wszystko się skończyło«, rzekła zapłoniona wstydem panna

Bailleul, »Rochelle jest wprawdzie na jutro zaproszony, ale wątpię aby przyszedł.«

»On przyjdzie.«

»Jako? onby śmiał, on byłby tak bezczelny«, ozwała się z przestrachem panna Bailleul.

»On się odważy, bo mu na śmiałości nie zbywa. Ale bądź pani spokojną, ja będę obecny. Dla tego przyjmiéj go pani tak, jak zwykle, ja wszystko na siebie biorę.«

Okolicznościami pognębiona, własném uczuciem udręczona panna Bailleul, zdziwiła się nareszcie, że zięć jéj dzisiaj z taką pewnością się wyraża. Spojrzawszy nań przenikliwym wzrokiem, spostrzegła w oczach jego tak zimną energiję, na czole jego tak niezachwianą stałość, iż nagle doznała tegoż samego uczucia, jakiego doznaje niewprawny pływacz, który straciwszy grunt pod nogami, coraz bardziéj w nieznaną głębię się zagraża.

»Jak widzę«, rzekła z wymuszonym uśmiéchem, »wpan masz dzisiaj wielką w sobie otuchę; zupełnie się zmieniłeś, prawie nie do poznania; piérwéj byłeś zwykle tak łagodny, spokojny, tak —«

»Niezgrabny!« dodał Valmy z szyderstwem.

»Tegom ja nie mówiła.«

»Aleś pani sobie myśliła, co na jedno wyjdzie.«

»Charaktery nie zmieniają się jednéj chwili.«

»Otóż i mój bynajmniéj się nie zmienił, i dziś jestem, czém wczoraj byłem.«

»Zagadka! nieprawdaż? ale tém się wpan bynajmniéj nie wymówisz, gdyż postawa, głos, wzrok, a nawet wszystko zdaje się być w wpanu zmienioném. Jestto osobliwsza zagadka!«

»Możeś pani ciekawa?«

»Jestem kobiétą!« odrzekła na pół z uśmiéchem a na pół z trwogą pani domu.

»Ja zaś jestem mężczyzną«, odrzekł z powagą Valmy, »a bynajmniéj automatem, jakeś pani dotychczas o mnie sądziła; oto cała zagadka. Nie jestem ani bohatérem ani uczonym; nié mam wiele dowcipu ani talentu, ale jestem człowiek poczciwy i niewolnik méj powinności. Gdym się żenił, sądziłem, że zawiéram związek święty, postanowiłem być dobrym małżonkiem, uszczęśliwić moję żonę, i poważać moję familiję. Atoli związek mój zawarty był przez mojego wuja z takim pośpiechem, żem nawet nié miał czasu w nim się rozpatrzyć. — Samaś pani wywołała to oświadczenie, dla tego przebacz, że jéj prawdę powiedzieć się poważam. — Tkliwemu przywiązaniu memu nie odpowiedziałaś ani pani, ani Adolfina tak, jak może zasługiwałem. Nie mówię o moim teściu, który jest aniołem dobroci. Ale pani, od któréj najszczególniéj moje domowe szczęście zawisło, pani odmówiłaś mi wszelkiego wsparcia. Ani moja grzeczność, przychylność, ani moje poważanie i uległość nie znalazły względu w jéj oczach, a żona moja Adolfina przejęła zupełnie postępowanie pani.«

»Przywary małżonki wpana nie obchodzą mnie bynajmniéj«; odrzekła panna Bailleul, słuchając nie bez pomieszania tych słusznych zarzutów.

»Tak pani mówisz? Panią nie obchodzą przywary dziéwczyny, która w jéj zasadach jest wychowana!« rzekł Valmy mocniejszym głosem. »Czemużto rodzice w obec ustaw za swoje dzieci są odpowiedzialni? Gdyby nie pani przykład, Adolfina byłaby mi posłuszną, a ja nie byłbym dziś zmuszony przynaglać ją do tego. Jéj błędy są pani dziełem, i to jest jedynym powodem, że je pobłażam. Poznałem to zaraz w tydzień po mojém ożenieniu, i gdybym był słuchał popędu miłości własnéj, rzecz ta już dawno byłaby inny obrót wzięła. Ale w tak delikatnych stosunkach zamyśliłem działać bez skazy. Chociaż nie bardzo giętki mam charakter, jednak przez sześć miesięcy zrzekłem się własnéj woli, postanowiłem być cierpliwym, posłusznym, słowem, zastósować się zupełnie do cudzéj woli, abym, jeżeliby się mi nie powiodło tym sposobem pokonać tyraniję pani, mógł przynajmniéj moję stałość postawić naprzeciw jéj despotyzmowi. Z tych sześciu miesięcy już pięć upłynęło, stosunki teraźniejsze uwalniają mnie od dalszéj próby samego siebie. Od dnia dzisiejszego inny będzie skład rzeczy.«

»Mamże to wyznanie miéć za zerwanie wszelkich związków ze mną, i to teraz, kiedyś mi wpan tak szlachetną wyświadczył przysługę?« zapytała struchlała panna Bailleul.

»To zerwanie wtedy tylko nastąpi, kiedy je pani sama wywołasz. Pani jesteś ciotką Adolfiny; znam ja powinności, jakie na mnie wkłada to nazwisko; nigdy ja nie ubliżę przychylności i uszanowania, które się pani należą, ale panowanie w domu moim, jest powinnością, którą sam zająć się zamyślam. Dla tego proszę pani, nie chciéj zapominać, że odtąd tylko jeden jest pan w tym domu, a tym — ja jestem!«

To rzekłszy, ukłonił się i wyszedł spieszno z sali, zostawiwszy pannę Bailleul w takim stanie umysłu, który tylko czuć można, ale opisać niepodobna.

Z tém wszystkiém powaga małżonka była tylko jeszcze do połowy uzyskaną; pozostawało jeszcze podbić pod swą władzę i piękną małżonkę, mającą lat dwadzieścia i trzy, a że to nie jest łatwą rzeczą, wiadomo wszystkim, którzy tego doświadczyli. Dla tego niezupełném jeszcze było zwycięztwo; a choćby Valmy nawet dzisiaj zwyciężył, tryjumf jego dniem jutrzejszym był zagrożony. Bo czyliż Rochelle, ten słynny szermierz, który już trzech przeciwników w pojedynku położył, nie przysiągł uzupełnić pogrobowego kwartetu ciałem poczciwego człowieka, któremu tajemnica jego hańby znaną była?

10.

Zégary wskazywały pół do siódméj w pokojach, które pan i panna Bailleul przy ulicy Vendôme zamieszkiwali. Wszyscy goście byli zgromadzeni na sali; całe towarzystwo, prócz ciotki i pani Valmy, składało się z samych mężczyzn, po większéj części dawnych przyjaciół pana Bailleul, należących do téj szanownéj klasy, która nawet w dzikim zamęcie paryskiego życia zachowuje swoje proste, mieszczańskie zwyczaje. Kilku tylko młodych ludzi było reprezentantami Francyi nowoczesnéj, i ubiégało się o względy panny Bailleul. Ale ta nie była w stanie w téj chwili rozwinąć swéj uprzejmości; jakaś wzmagająca się obawa nadawała jéj poruszeniom widoczną wymuszoność i niespokojność; za każdą razą, skoro się dzwónek u drzwi odezwał, wzdrygała się mimowolnie.

Szósta godzina, w któréj obiad dać miano, już dawno upłynęła, już na poczciwych twarzach pojawiał się głód wilczy i smętność apetytu, gdy oto nagle dał się mocno słyszeć dzwónek, drzwi się rozwarły, a Rochelle wszedł do pokoju.

W czasach feudalnych wieku średniego, rycerze owocześni mieli zwyczaj wdziewać na siebie w dniach bitwy najświetniejszą zbroję, przepasywać się najpiękniejszą szarfą; Rochelle zdawał się ulegać przepisom téj bohaterskiéj kokieteryi. Wystąpił tak pysznie, iż trudno było rozeznać, czy on suknię, czyli téż suknia jego zdobiła. Dyjamenty i złoto lśniły się na wszystkich miejscach, gdzie je tylko wetknąć można było; najwyszukańszą wytwornością odznaczała się jego toaleta. Jego włos z natury kędzierzawy, przybrał tą razą pozór lwiéj grzywy, ostro zakręcone wąsy stérczały jakby kły odyńca. Czołem szedł w sufit, krokiem wstrząsał parkiety, uśmiéch jego był szyderstwem, a wzrokiem zdawał się bić policzki.

Nowy gość posunął prosto do panny Bailleul, i ukłonił się jéj z taką impertynencyją, jaką tylko w ten znak uszanowania włożyć można; nie z mniejszą pogardą rzekł gospodarzowi domu dzień dobry, i wlepił wzrok swój tak mocno w Adolfinę, iż ta od wstydu spłonić się musiała. Valmy zdawał się nie uważać tego i stojąc obrócony tyłem do gościa, rozmawiał w framudze przy oknie. Rochelle skoro go spostrzegł, wraz przybrał postawę walecznego koguta i przemówił do swego przeciwnika tak głośno i tak niespodzianémi wyrazy, iż za piérwszém słowem wszystko w salonie ucichło.

»Dziwi mnie to mocno mój mości Valmy«, rzekł śród powszechnego milczenia, »iż się ośmieliłeś przyjść w to miejsce, wiedząc bardzo dobrze, że ja tu będę. Zakazałem to wpanu wyraźnie, a że tak słabą masz pamięć, niechże batożek mój przypomni to wpanu.«

Na tak niesłychaną przemoc nastąpiło wraz z oburzeniem powszechne zdziwienie. Wszystkim gościom odszedł apetyt; Adolfina i ciotka powstały z miejsca obiedwie jak trup blade; pan Bailleul, który tylko w obec swojéj siostry tracił odwagę, chciał się rzucić na człowieka, który dóm jego obrał sobie za cel takiego zhańbienia, ale kilku przyjaciół wstrzymało go w zapędzie.

Między wszystkiémi jeden tylko obrażony Valmy nie stracił swojéj oziębłości, czekał cierpliwie, pokąd Rochelle nie skończył swéj przemowy, a potém rzekł:

»Moi panowie, rozwinięcie tego dramatu jest tak bardzo ciekawe, iżby szkoda było, gdyby scena spieszno nie postąpiła i nie nawiodła przynależnéj katastrofy. Tylko chwila cierpliwości, a ciekawość zaspokojoną zostanie.«

Na te ostatnie słowa Valmiego otworzyły się drzwi pobocznego pokoju, a komisarz królewski wszedł w mundurze z czterma żandarmami.

»Imieniem ustawy«, rzekł tenże kładąc rękę na ramieniu Rochella, »zostajesz wpan Jędrzéj, Ludwik, Edward Chabaud Rochelle jako oszust, jako przekonany zbrodniarz uwięziony.«

Wszyscy obecni wydali krzyk przestrachu; Rochelle stanął blady i drżący przed strasznym sługą sprawiedliwości; Adolfina i ciotka jéj

wypatrzyły się jak martwe słupy na złoczyńcę, którego prawie obie kochały; Valmy zabrał głos znowu:

»Widzę tu w około siebie ciekawością wypatrzone twarze, które odemnie rozwiązania téj zagadki żądać się zdają? stanie się zadość ich oczekiwaniu. Człowiek ten, którego teraz tu pognębionego świadomością swéj ciężkiéj winy widzicie, dopokąd miał nadzieję ujścia zasłużonéj karze, poważył się bez wszelkiego względu deptać najdroższe moje stosunki, jakoż nadzieja jego byłaby się może z-iściła; gdyż poczciwemu człowiekowi przychodzi trudno wydawać nawet oszusta; ale złoczyńca ten, zaślepiony swoją zuchwałością, nastawał na życie moje, a tak byłem zmuszony wezwać ustawy przeciwko temu, któremu ani honoru mego poświęcać, ani téż jako z podłym człowiekiem pojedynkować się obowiązany nie jestem. Przypomniéj sobie Edwardzie Rochelle ostatnią ze mną rozmowę, wszak dałem ci wyraźnie do zrozumienia, żeś prócz oszustwa tego, któregoś zniszczył dowody, dopuścił się jeszcze innych bezprawiów. List, w którym był załączony zfałszowany weksel, zawiérał także dowody poprzednio popełnionych występków. Teraz masz się z nich równie, jak i z rzetelności swego ostatniego przemysłowego przedsiębiérstwa, przed sądem usprawiedliwić.«

To rzekłszy Valmy, nie oczekując odpowiedzi skinął, a Rochelle otoczony milczącymi towarzyszami, zgrzytnąwszy wściekle zębami, wyszedł z sali. — W sześć miesięcy późniéj, kawaler przemysłowy przy ulicy Vivienne, został mieszkańcem na galarach w Tulonie.

* * *

Od czasu owéj katastrofy, którąśmy przy końcu naszéj powieści skréślili, upłynęły lata, a z latami przybrały stosunki familii Valmiego tok inny i daleko szczęśliwszy. Człowiek ten chociaż nie był od swéj żony kochany z ową romantyczną namiętnością, któréj ogień jako zapał piérwszéj młodości zwykle tak spieszno gaśnie jak powstaje; pozyskał jednak szacunek i szczére przywiązanie swojéj małżonki. Adolfina dręczona przypomnieniem, że obłudną przychylność zbrodniarza przenieść mogła nad prostą poczciwość szlachetnego małżonka; powzięła szczére postanowienie, całe swoje życie pamiętać o téj chwili, a jéj statecznéj chęci powiodło się poskromić w sobie pragnienie i ubieganie się za owém niebezpieczném wzruszeniem, które w sercu młodéj niewiasty rychléj lub późniéj się obudza, a które raz pokonane, staje się dla niéj na zawsze ochroną i przestrogą. Benedykt Valmy żyjąc w najlepszéj harmonii z swym teściem (nad którym, mówiąc nawiasem, panna Bailleul jeszcze bardziéj górę wzięła), poważany i kochany od wszystkich swych przyjaciół, stałością charakteru swego zjednał sobie spokojne i szczęśliwe stanowisko, i dał nowy dowód, że cnota chociaż w prostéj, niepokaźnéj osłonie, zawsze w końcu nad występkiem w świetnéj szacie zwycięztwo odnosi.

MATKA DWU-LETNIEMU DZIÉCIĘCIU.

Dwie wiosny żyłeś mój najmilszy kwiatku,
Jam cię pieściła moich uczuć zdrojem,
Ach, życie twoje było życiem mojém!
Z tych rozkosz moich.....
Cóż mam dziś w ostatku!

i-n-k.

SYPIALNIA
PANI LAFARGE W GLANDIER.

Stary, podupadły dóm o pięciu lub sześciu otwartych celach, w których niegdyś Kartuzy mieszkali, i które zawsze jeszcze na nowych mnichów czekać się zdają — taki jest dom w Glandier, jak się na piérwszy wstęp przedstawia. Była ze mną jedna z moich kuzynek, gdym stare to opactwo zwidzała. Szłyśmy obiedwie długą topolami wysadzaną aleją, prowadzącą do pomieszkania pani Lafarge. — »Tędy zapewne nieraz ona się przechadzała«, rzekła moja kuzyna. — »Tak jest pani«, odrzekła młoda dziéwczyna, która się nagle pojawiła; »byłato ładna i świéża jak róża majowa w wysokiéj czapeczce i karmazynowym fartuszku ubrana włościanka.« — »Wiészże o kim mówimy?« — »Ej, dla czegoż nie, o pani Maryi. Nié ma jeszcze temu lata dwa, jakem ją tędy przechadzającą się widziała: czytała ona dzieło złożone z kilku tomów, w którém mnie niekiedy także czytać uczyła.« — »Pamiętaszże jaki był tytuł tego dzieła?« — »O bardzo dobrze, bo książka ta miała osobliwsze nazwisko: zwano ją *Pamiętnikami diabła*. Jeden tom tego dzieła, pożyczyła była nawet pannie Annie Brun, która go w nocy w swym pokoju czytywała.« — Piękna włościanka jeszcze nie dokończyła opowiadania swego, gdyśmy stanęły w domu, gdzie nieszczęśliwy Lafarge życie swoje zakończył. Składa on duży parallelogram, największa fasada wychodzi na ogród: strona ku alei ma pięć okien. Przed jedném z tychże stoi jeszcze dotychczas tak zwane drzewo świąteczne, które w dzień wesela zasadzono: na samym wiérzchołku igrały wiatry kawałkiem szmaty; byłto szczątek chorągwi, którą w znak radości na niém zawieszono! »Ach mój Boże!« pomyśliłam sobie, ktoby się był spodziéwał, że szczęście nowożeńców nawet tak długo jak ta chorągiew' nie potrwa!« —— Weszłyśmy w dóm; był on niezamieszkany; jeden tylko odźwierny jest jego dozorcą, który za zbliżeniem się naszém zdjął czapkę i wyszedł naprzeciw nam: »Może panie życzą sobie zwidzić Glandier? Pokażę pokoje, w których pan Karol umarł, i pokój saméj pani.« — Poszłyśmy za odźwiernym, który nas dolnémi pokojami prowadził. Okna i okiennice były pozamykane, dla tego nie mogłyśmy

rozeznać mebli. Tylko w kuchni spostrzegłam jedno miejsce, które straszliwie słynném się stało; byłto piec, w którym pani Lafarge zatrute kołacze piekła. Sypialnia była zupełnie próżna. Sciany powleczone były różnowzorém obiciem; dziewięć źwierciadeł było w tafłowane ściany wpuszczonych. Pani Lafarge kazała tę reparacyję rozpocząć; zajmowała się nią jeszcze tego samego wieczora, w którym ją uwięziono. Weszłyśmy do téj sypialni, zachodzące słońce odbijało się w oknach i rzucało posępne cienie w pokoju. Widok tego pokoju zgadzał się zupełnie z naszém żałośném spomnieniem; obicie w nim jest stare: na sekretarzyku z drzewa hebanowego, stoi duża postać anioła z czarnémi rozpostartémi skrzydłami; ogromne czarne urny, zdobią podobnież czarny kominek; obok tego okropnego anioła, wiszą dwa medaliony, które do Maryi Capelle należały: w jednym z nich są blond włosy, a w drugim przecudna miniatura. Wszystko w tém miejscu jest wytworne i kokietujące. Podłoga parkietowana formuje na środku warcabnicę. Dwa przepyszne lustra wisiały jedno naprzeciw drugiego. Na kominku stał kosztowny zegar ścienny z małym posągiem Joanny Hachette. Po obu stronach widać było portrety w miniaturze; obok wielu innych portret pana Garet, gubernatora banku francuzkiego, tudzież hrabiny Nicolai. Fortepijan roboty Pleyela stał jeszcze otwarty tak, jak go pani Lafarge zostawiła, gdy po raz ostatni na nim grała; na pulpicie jego obok exercycyjów Thalberga, leżał jeszcze utwor muzyczny: *Romanca* Dezdemony, z'Otella Rossyniego. Kanapy i krzesła były czerwonym aksamitem powleczone. W tymto pokoju zeszedł nieszczęśliwy Lafarge okropną śmiercią z tego świata! Na kołdrze i na prześcieradłach w łóżku, widziałyśmy jeszcze krwi ślady. Tuż obok tego pokoju jest sypialnia Anny Brun: są tam dwa łóżka. W jedném z nich spała Maryja Capelle niedługo przed śmiercią swego męża; wszystko poświadczało tu o bytności tych dwóch młodych niewiast. Na gerydanie, który błękitnym suknem jest powleczony, leżały jeszcze rozwarte książki, w których z-rana czytała, gdy jéj *mandat d'amener* przyniesiono; jedną z tych książek było tłumaczenie z niemieckiego Kirchera; przemowa zaczynała się témi słowy: »Dla tych, dla których niedość jest żyć, lecz dla których potrzebą jest kochanie, błądzenie i użycie rozkoszy—«; druga zawiérała zbiór poezyi, które mnie nie bardzo nabożne być się zdawały. Widok tego miejsca żałość we mnie obudził, prosiłam kuzyny, byśmy się czém prędzéj oddaliły: nie odetchnęłam swobodnie, aż gdyśmy wyszły z tego okropnego siedliska.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 39. i obejmuje: 1) Odezwa do panów prenumeratorów. 2) O ilości nasienia do siewu. 3) Ile kloc okrągły ma stóp sześciennych. 4) Odkryte powody choroby owczéj Traber czyli wąsacz zwanéj. 5) Główne warunki warzenia wszędzie dobrego piwa. (Dokończenie.) 6) Wiadomości czasowe.

Ner. 19. *Dziennika mód paryskich*, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, zawiera prócz mód, następujące artykuły: 1) Wycieczka do Berchtesgaden, przez W. Chłędowskiego. (Ciąg dalszy). 2) Wiersz: Ustęp z Fausta. 3) Wyjątek z Szlachtografii.

Nakładem księgarni J. Millikowskiego wyszło z druku dzieło: *Nowy wyborny i najtańszy kucharz* i t. d. Autor książki tej podpisał się przyjacielem ludzkości. — Pod prasą jest dziełko E. Coursiera: *Sposoby mówienia potoczne* i t. d. dla wprawienia się w języku polskim, francuzkim i niemieckim. Przekład J. J. Szczepańskiego.

Z Wilna: Zasłużony naukom i krajowi Jks. Jundził, były profesor historyi naturalnej i botaniki w Uniwersytecie wileńskim, zamierza wkrótce ogłosić dzieło: *O stanie akademii wileńskiej* za jego czasów. Czcigodny ten weteran nauk, zebrawszy pracą i oszczędnością znaczny majątek, poświęcił go na rzecz oświécenia, to jest na wieczyste utrzymanie kilku uczniów ubogich przy gimnazyjum wileńskiém. *(O. N.)*

Z Poznania. Hrabia Tytus Działyński sposobi do druku nowe dzieło: *Liber Geneseos Domus Szydloviecianae* z rękopisu łacińskiego, z czasów panowania Zygmunta I., właśnie gdy znakomity dom Szydłowieckich tak ważną w dziejach grał rolę. Rękopis ten przyozdobiony jest pięknie kolorowanemi wizerunkami wszystkich osób do téj rodziny w onczas należących, które nawet pod względem ubiorów starożytnych i sztuki malarskiéj są pożądanym zabytkiem. Szanowny wydawca kazał je odsztychować na miedzi i niektóre egzemplarze (jak *Orędownik* donosi), będą tak przepysznie iluminowane, że odmalowanie jednéj ryciny dwadzieścia pięć talarów wyniesie.

Z Wrocławia. Wyszedł tu tom piérwszy dawno z upragnieniem oczekiwanych *Poezyj* jenerała Franciszka Morawskiego. Znamienity poeta poświęcił dochód z dzieła na wsparcie tych włościan we wsi Luboni w W. ks. Poznańskiém, którzy własności nie posiadają.

W narzeczu mało-ruskiém odznacza się teraz znakomity powieścio-pisarz i dramatyk Grićko-Omowiareńko.

Model studni artezyjskiéj. Wiadomo, iż francuzkiemu inżenijerowi Mulot powiodło się w Paryżu za pomocą przez niego wywierconéj studni artezyjskiéj, wyfutrowanéj wązkiémi rurami, wyprowadzić słup wody do nadzwyczajnéj wysokości dziewięćdziesięciu stóp nad powierzchnię ziemi. Dla nauki inżenijerów i geologów, robi teraz pan Mulot model téj studni, który wkrótce skończony będzie. Takowy składa się z mocnéj szklannéj rury, około któréj, zupełnie podług rozmiaru, i ściśle podług świdru, poumieszczał pokłady tych różno-rodnych gatunków ziemi, przez które się słup wody przedzierać musiał. — Prócz tego dodane będą systematycznym porządkiem i w odpowiednim rozmiarze wszystkie narzędzia do wiercenia, równie jak i machiny, których do tego zamiaru używano.

Statek parowy Lilipucki. Mieszkańcy miasta Lincoln zdziwili się niepomału ujrzawszy, że do ich portu zawinął niedawno malutki statek parowy, który zupełnie podług nowych zasad był zbudowany. Nie widząc kół, sądzono z początku, że siłą nadawającą ruch, jest śruba Archimedesa, ale się omylono, jestto bowiem nowy wynalazek, który w pewnym względzie nawet śrubę Archimedesa przechodzi. Z tyłu są dwie łopatki małe, a całemu statkowi nadają ruch rzemienne pasy na walce owinięte, w ten sposób zrobione, że się z-użyć nie mogą. Malutki ten statek nie bierze więcéj nad trzy beczki ładunku i nie jest o większéj sile jak jednego konia. W czasie pogody odbywa siedm' angielskich mil w godzinie, a to bez poruszania fal, co na wązkich rzékach i kanałach jest bardzo ważną rzeczą. Wynalazcą jego jest pan Barland z Greenwich. Malutki statek ten odbył już także podróż morską z Londynu do Nottinghamu, i łączył w sobie wszelkie bezpieczeństwo, jakie tylko wielkie okręty miéć mogą.

Ludność w Chinach. Pouthiera statystyczne dokumenta państwa chińskiego na francuzkie przełożone,

wykazują, że właściwe Chiny mają 361,693,179 dusz ludności. Byłaby to ilość ogromna, jednakże podobna jest do prawdy, gdyż właściwe Chiny, podług doniesień missyjonarzy jezuickich obejmują 333,000,000 hektarów przestrzeni ziemi, przytém ochota Chińczyków do wynoszenia się z kraju, pomimo nadzwyczajnego ich przywiązania do swéj ojczyzny, równie jak i wiele innych znamion przekonywają dostatecznie, że państwo niebieskie nazbyt jest przepełnione. Dotychczas liczono tylko 170 do 180 milijonów dusz w właściwych Chinach, a najwięcej 300 do 350 milijonów mieszkańca na całe państwo. Trudno w téj mierze powiedzieć co pewnego; ale to jest rzeczą niezawodną, że ilość mieszkańców chińskich podana w jeografii Balbiego, jest za małą.

List króla szoańskiego do Ludwika Filipa. Szoa jest wielkie państwo w Abissynii południowéj, które niedawno pan Rochet d'Hericourt zwidził. Stolicą państwa jest Angolala; król nazwiskiem Saleh-Salassy jest przystojny mąż spaniałego wzrostu i regularnej twarzy. Na sposób rzymski ułożony ubior dodaje postawie jego jeszcze większej powagi. Tron jego wzniesiony jest z skór bawolich, które jedna na drugiej ułożone, i czerwonym, żółto-bramowanym atłasem są powléczone. Saleh-Salassy dowiadywał się szczególniéj, na jaki sposób Europejczykowie robią działa, karabiny i szable. Pan Rochet zabawiwszy pięć miesięcy, opuścił Angolalę; król doręczył mu wiele podarunków dla Ludwika Filipa i dwa etyjopskie rękopisma na papiérze welinowym, pięknego rumaka z rzędem, tarczę z skóry nilowego konia okutą srebrem, dwie włocznie, krzywą szablę w platérowanej pochwie, śrébrny naramiennik, czarną skórę z lamparta czerwonym atłasem podszytą i t. p. List króla opiewa jak następuje: »Saleh-Salassy król szoański do Ludwika Filipa, króla Francuzów. Usłyszawszy od pana Rochet o Waszéj wielkości, wyprawiam do Was to poselstwo; serce Moje skłania się Wam, i życzy sobie przyjaźń z Wami zawiązać. Jestto zwyczajem, aby pomiędzy osobami oddalonémi podarunki były pierwszémi zakładnikami przyjaźni. Dla tego posyłam Wam różne przedmioty z Mego kraju. Nie uważam ich za podarunki, któreby Was godnémi były, lecz jako osobliwosci; sąto płody naszego przemysłu. Nie mogę z Wami zawrzeć téj przyjaźni, która wypływa ze spojrzenia i mowy, lecz tylko tę, która jest córką słowa, gdyż z sobą widzieć się nie możemy. Atoli oczami Naszémi niechaj będą znaki, które pióro nakréśliło, a Naszém słowem niech będzie słowo Racheta, któremu myśli moje powierzyłem. Przyśléjcie Mi go powtórnie, a gdy do Was przybędzie, oznajmcie mu, co z mojego kraju otrzymać sobie życzycie, a czego nie ma w Europie. Błogosławieństwo Boga Ojca naszego, błogosławieństwo Jezusa Chrystusa, niech będzie z Nami.« Saleh-Salassy król szoański.

(Revue des deux mondes.)

Nieprzyjaciółka mężczyzn. Jedno z amerykańskich pism donosi, że w Anapolis, jedném z miasteczek w Marylandyi, rozstała się niedawno z tym światem oryginalna nieprzyjaciołka mężczyzn. Dożyła one lat ośmdziesiąt i trzy i przez cały ten czas nie chciała iść za mąż dla udowodnienia, że to jest potwarz utrzymywać, iż każda niewiasta pragnie wstąpić w związki małżeńskie. Stara ta dama, która była bardzo bogatą i dawniej się odznaczała pięknością, zwała się Joanna Murdoch. Aczkolwiek z innych względów bardzo łagodna i przyjemna, jednakże była prawdziwą tygrysicą dla wszystkich młodych kawalerów, a mianowicie dla modnisiów, którzy ją otaczali. Pominąwszy wszystkich swoich krewnych i powinowatych płci męzkiej, cały swój majątek zapisała testamentem swym siostrzenicom, pod warunkiem, ażeby nigdy nie szły za mąż. Następnie czterem czterdziesto-letnim mężczyznom przekazała każdemu po sto dolarów, aby jéj ciało do grobu zanieśli, ale pod tym warunkiem, aby pierwéj złożyli przysięgę, że w swojém życiu żadnej kobiéty nie kochali. Lecz nie znaleziono nikogo, któryby ten warunek wypełnić się odważył; przeto ciało jéj musiały nieść dziéwczęta. Drugi artykuł w jéj testamencie zawierał, aby na pogrzebie jéj tylko wesołe pieśni śpiewano, aby dano wielką ucztę dla tych, którzy na nim będą, i żeby sześć panien na jéj grobie tańczyło. Wszystkie te rozporządzenia ściśle wykonano. Słychać, że na tym pogrzebie przeszło dwa tysiące osób się znajdowało; pogłoska niesie, iż nikt nie wyszedł trzeźwym z téj biesiady. Joanna Murdoch należała do sekty Mikulistów czyli nowych Kwakrów.

Przyzwoitość azyjatycka. Podczas wyprawy Szacha Szudszy do Kabulu, objuczony wielbłąd zrzucił z siebie jednę z żon Szacha. Zwierz ten zawikłany w popręgi lektyki, padł z całym swoim ciężarem na niewiastę. Oficer angielski widząc ten przypadek, poskoczył i chciał przygniecioną wyciągnąć z pod wielbłąda, który mocno wierzgał nogami. Atoli mimo wszelkie niebezpieczeństwo i dojmujący ból, zawołała nań żona Szacha, iż nie chce ocalić swego życia hańbą, która jest gorszą od śmierci. Zdaje się, iżby ją była spotkała najsroższa kara, gdyby się jéj jaki mężczyzna, a mianowicie niewierny dotknął. Z oporem oddalił się Anglik; wołanie nieszczęśliwej o pomoc coraz słabło, aż nareszcie po niejakiej chwili przybiegło dwóch rzezańców, którzy ją z tego niebezpiecznego położenia wydobyli. Była ona prawie nieżywą, i jeszcze téjże samej nocy jako ofiara azyjatyckiéj przyzwoitości — umarła.

Deklamacyja panny Rachel. Do osób arystokracyi angielskiéj, która pannę Rachel do siebie zapraszała, należał także książę Wellington. Stary ten Achil angielski zawsze jeszcze lubi, gdy ludzie o nim mówią; w towarzystwach nadaje ton i proteguje kunszta. Z tego powodu zaprosił raz pannę Rachel, aby u niego w obecności kilkunastu najznakomitszych obywateli angielskich niektóre sceny deklamowała. Młoda artystka nie dała się długo prosić, i w oznaczonym czasie w towarzystwie swego ojca i hrabi D., który grał rolę honorowego jéj kawalera, weszła na salę księcia. »Jestto rzecz osobliwsza«, rzekł hrabia spojrzawszy po towarzystwie, »ze wszystkich gości, którzy tu są obecni, wyjąwszy jednego gospodarza domu, żaden nie umié po francuzku.« Rzecz naturalna, że wiadomość ta zasmuciła pannę Rachel; nareszcie wygłasza kilka tyrad, które hucznémi oklaskami przyjęto; z tém wszystkiém artystka przyjęła te oklaski tak jak warte były. Gdy skończyła, zbliżył się do niej książę Wellington. »Otoż przecie jest jeden, który mnie ocenić umiał«, pomyśliła sobie panna Rachel; »oklask jego jest wielkiéj wagi.« — »Wpanna« rzekł książę, »sprawiłaś deklamacyją swoją bardzo wielkie wrażenie, którego niestety! ja tylko jeden podzielać nie mogłem, gdyż już od dawna prawie całkiem głuchy jestem.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.